



ZEMSTA
MANITOU

GRAHAM MASTERTON



ROZDZIAŁ 1

Obudził się w nocy. Był pewien, że ktoś jest w sypialni. Zamarł. Nie śmiał nawet oddychać. Wczepiwszy palec w kołdrę w bladoniebieskie prążki, podciągnął ją pod sam nos. Wyteżając słuch, wpatrywał się w ciemności, gotów wychwycić choćby najdrobniejszy ruch, najcichsze skrzypnięcie podłogowych desek. Serce trzepotało mu w piersi bezgłośnie jak oszalałe, pompując przerażenie do wszystkich żył i arterii ciała ośmiolatka.

– Tato – wyszeptał, ale tak cicho, że nikt nie mógł tego usłyszeć. Jego rodzice spali w przeciwległej sypialni, więc od ratunku dzieliło go dwoje drzwi i dziesięć metrów mrocznego korytarza, gdzie tykał stary zegar szafkowy i gdzie nawet za dnia odczuwało się dziwną samotność i dławiący bezruch.

Teraz nabrał pewności, że słyszy czyjeś westchnienia lub oddech. Ciche, stłumione wzdychanie jakby ze smut-

ku lub bólu. Mógł to być jedynie szelest zasłon, którymi poruszał wiatr wpadający przez uchylone okno. Mogły to być szepczące fale morskie, obmywające plażę oddaloną o niecały kilometr. Czekał i czekał, ale nic się nie działo. Minęło pięć minut. Dziesięć. Oderwał od poduszki głowę o blond lokach. Szeroko otwartymi oczami rozejrzał się po pokoju. Spojrzał w nogi łóżka, na rzeźbiony wspornik. Na drewnianą szafę. Na pudło z zabawkami z niedomkniętym wiekiem, które oparło się na utkniętych w nim dźwigach, czółgach i rękawicach do baseballu. Na ubranie, dżinsy i koszulkę na oparciu drewnianego krzesła.

Począł jeszcze chwilę, wyęzając wzrok. Potem ostrożnie wstał i podszedł do okna. Na zewnątrz szarzało niebo pokryte porwanymi wiatrem chmurami. Nocna czapła wrzasnęła niespokojnie, zwiastując świt. Z uporem gdzieś stukały drewniane drzwi. Spojrzał w dół na zaścianek ogródek i chylący się płot, który oddzielał dom Fennerów od porośniętych trawą wydm wybrzeża Sonomy. Nikogo nie zobaczył.

Wrócił do łóżka i naciągnął kołdrę na głowę. Wiedział, że to głupie, bo tata tak mu powtarzał. Jednak dzisiaj było inaczej, nie tak jak wtedy, kiedy bał się cieni albo za bardzo przejął się filmem o UFO. Dzisiejszej nocy ktoś tu był. I ten ktoś wzdychał.

Leżał spięty prawie dwadzieścia minut. Drewniane drzwi na dworze nieustannie stukały z upiorną regularnością, ale poza tym niczego nie słyszał. Po chwili oczy

same zaczęły mu się zamykać. Raz jeszcze poderwał się, ale potem znowu zamknął oczy i zasnął.

Przyśnił mu się najgorszy koszmar w życiu. Wydawało się mu, że to wcale nie był sen. Wstał z łóżka i obrócił się w stronę szafy, poruszał głową dziwnie sztywno. Słoje drewna orzechowego w drzwiach szafy zawsze go trochę niepokoiły, ponieważ dopatrywał się w nich lisich pysków. A teraz przestraszył się ich. Miał wrażenie, że w drewnianej płycie ktoś jest i woła go, rozpaczliwie pragnie mu coś powiedzieć. Ktoś, kto został tam uwięziony, a jednocześnie jest przerażający.

Usłyszał czyjś głos, jakby ktoś mówił do niego zza gru-
bej szyby:

– Allen... Allen... na miły Bóg, Allen... na miły Bóg,
pomóż mi... Allen – ktoś wzywał.

Chłopiec podszedł do szafy, jedną rękę wyciągając przed siebie, jakby zamierzał dotknąć drewna, aby odkryć, skąd dochodził głos. Niewyraźna, ledwo widoczna, jedynie jako słaba poświata na lakierze, rysowała się szara twarz, której usta poruszały się, błagając o litość, o pomoc w wydostaniu się z tego niewyobrażalnego piekła.

– Allen... – głos monotonicznie powtarzał błaganie. – Al-
len... na miły Bóg...

– Kto to jest Allen? – wyszeptał chłopiec. – Jaki Allen?
Jestem Tobą. Tobą Fenner. Kto to jest Allen?

Chłopiec widział, jak twarz znika. Jednak przez chwilę ogarnął go lodowaty strach nie do opisania, jakby zawiął

zimny wiatr sprzed wielu, wielu lat. Odebrał wrażenie jakiegoś innego miejsca... znanego i znajomego, a jednocześnie przerażająco obcego. To odczucie pojawiło się i znikło tak szybko, że nie potrafił go zdefiniować.

– Kto to jest Allen? – zawołał, waląc dłońmi w drzwi szafy. – Kto to jest Allen?

Był coraz bardziej przerażony i krzyczał z całych sił.

– Kto to jest Allen? Kto to jest Allen?

Drzwi do sypialni otworzyły się z trzaskiem.

– Toby? Toby, do diaska, co tu się dzieje? – zapytał tata.

• • •

Siedzieli przy kuchennym sosnowym stole. Na śniadanie były jajka na bekonie i naleśniki. Tata przeżuwał jedzenie, popijał kawą, jednocześnie uważnie przyglądając się synowi. Obok taty leżała złożona, nieczytana gazeta „San Francisco Examiner”. Toby, ubrany już do szkoły w dżinsy i letnią, błękitną koszulę, koncentrował uwagę na naleśnikach. Dzisiaj widział w nich wyspy skarbów w morzu syropu, które stopniowo rozkopywał gigantyczny widelec.

Mama stała przy kuchence i sprzątała. Miała na sobie fartuszek w różową kratkę, blond włosy upięła w koński ogon. Była szczupła i młoda. Przyrządziła bekon dokładnie tak, jak Toby lubił. Tata miał ciemniejsze włosy, był spokojniejszy i mówił wolniej, ale łączyło ich głębokie uczucie, które nie potrzebowało zbyt wielu słów. Przez całe niedzielne popołudnie mogli puszczać latawce nad

morzem albo łowić ryby na którejs z łódek z warsztatu skutniczego i od obiadu po zmierzch zamienić co najwyżej pięć słów.

Za oknem kuchni jaśniało niebieskie niebo z białymi chmurami. Był ciepły i wietrzny wrzesień na północnym wybrzeżu Kalifornii, pora, kiedy wiatr gna piasek przez szorstką trawę i targa praniem na sznurze.

– Chcesz jeszcze kawy? – zapytała Susan Fenner. – Świeżo parzona.

Neil Fenner podsunął kubek, nie spuszczać wzroku z syna.

– Tak. Chętnie.

Susan, nalewając kawy mężowi, zerknęła na Toby'ego.

– Zjesz te naleśniki czy nie? – zapytała go nieco ostro. Toby podniósł wzrok.

– Jedz – polecił mu tata.

Toby posłuchał. Wielki widelec zagłębił się w wyspę skarbów, dźwignął ją i wprowadził do gigantycznej kruszarki.

– Jest coś ciekawego w gazecie? – spytała Susan.

Neil zerknął na gazetę i pokręcił głową.

– Nie będziesz czytał? – zdziwiła się Susan, odsuwając jedno z krzeseł i siadając z kubkiem kawy. Sama nigdy nie jadła śniadania, jednak nie wypuszczała z domu Neila ani Toby'ego bez porządnego, ciepłego posiłku. Wiedziała, że Neil przeważnie zapomina o przerwie na lunch, a Toby wymienia kanapki z masłem orzechowym na plastikowe

żołnierzyki albo gumę balonową.

– Nie będę – odpowiedział Neil i podał gazetę żonie. Susan otworzyła ją na dziale gospodarstwa domowego.

– Uwierzyłybyś? – odezwała się. – Piszą, że sprzęt marki Cuisiart wychodzi z mody, a ja jeszcze żadnego ich urządzenia nie mam.

– W takim razie zaoszczędziliśmy trochę pieniędzy – odparł Neil, ale najwyraźniej nie był zainteresowany tym tematem. Susan spojrzała na niego i zmarszczyła brwi.

– Neil, coś się stało? – spytała.

Pokręcił głową i nagle chwycił syna za nadgarstek, a następna porcja naleśnika zawisła nad talerzem.

– Tato? – zdziwił się Toby.

Neil bacznie przyjrzał się synowi.

– Toby, wiesz, kto to jest Allen? – zapytał szorstkim głosem.

Toby popatrzył na ojca, nic nie rozumiejąc.

– Allen? – powtórzył.

– Właśnie. Powtarzałeś to imię w nocy, kiedy ci się śniło coś straszego. Mówiłeś: „Nie jestem Allen, jestem Toby”.

Toby zamrugął oczami. Za dnia nie pamiętał zbyt dokładnie nocnego koszmaru. Wydawało mu się, że miało to związek z drzwiami szafy, ale nie wiedział w czym rzecz. Przypomniawszy sobie, że się bał. Pamiętał, że tata położył go z powrotem do łóżka i szczerze otulił kołdrą. Jednak imię „Allen” nic mu nie mówiło.

– Czy właśnie to mówił? „Nie jestem Allen, jestem Toby”?

Neil skinął głową.

– Ależ dzieci mówią przeróżne rzeczy przez sen – powiedziała Susan do męża. – Moja młodsza siostra śpiewała rymowanki.

– To nie to samo – odpowiedział Neil.

Susan spojrzała na syna i z powrotem na męża.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – dodała cicho.

Neil puścił nadgarstek syna. Popatrzył na stół, na swój pusty już talerz.

– Mój brat miał na imię Allen – oznajmił wówczas. – Wszyscy mówili do niego Jim, bo na drugie miał James. Ale na pierwsze imię miał Allen.

– Ale Toby o tym nie wie.

– No właśnie.

Zapadło niezręczne milczenie.

– Co chcesz przez to powiedzieć – odezwała się Susan. – Że Toby ma koszmary o twoim bracie?

– Nic nie chcę przez to powiedzieć. To mnie po prostu zaskoczyło, to wszystko. Pokój Toby’ego kiedyś należał do Allena. To znaczy, Jima.

Susan odstawiła kubek z kawą. Spojrzała na Neila i zrozumiała, że z niej nie żartuje. Czasami to robił, a poczucie humoru miał miłe, chociaż toporne, odziedziczone po matce Polce. Poczciwe, środkowoeuropejskie żarty. Jednak dzisiaj był zdenerwowany i zaniepokojony, jakby

przeczuwał niepewną przyszłość.

– Myśli, że to duch? – zapytała Susan.

Neil na moment spowaźniał, a potem najwyraźniej zmieszany uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Duch? Sam nie wiem. Nie wierzę w duchy. To znaczy, nie wierzę w duchy, które chodzą po nocy.

– Tato – zapisał Toby. – A duchy istnieją? Naprawdę?

– Nie, Toby – odparł stanowczo Neil. – Nie ma żadnych duchów. Są tylko w bajkach i na tym koniec.

– W nocy słyszałem jakiegoś głosu – dodał Toby. – Czy to był duch?

– Nie, dziecko. To tylko wiatr.

– Ale co powiedziałaś o Allenie?

Neil spuścił głowę. Susan wzięła Toby'ego za rękę.

– Tatuś chciał powiedzieć, że śniło ci się coś bardzo wyjątkowego – wyjaśniała spokojnie – i to wszystko. Nie ma się czego bać. A teraz skończ tego naleśnika, bo już pora do szkoły.

• • •

Neil zawiózł Toby'ego pick-upem do Bodega Bay i wysadził go przed samą szkołą. Dzwonek zawodził płaczliwie, a większość dzieci była już w środku. Toby wysiadł z samochodu, ale zamiast biec prosto do szkoły, stał jeszcze chwilę obok pick-upa, spoglądając na ojca. Wiatr od oceanu rozwiewał mu blond grzywę.

– Tato? – odezwał się.

Neil spojrział na syna.

– O co chodzi?

– Nie chciałem cię zdenerwować – powiedział Toby.

Neil się zaśmiał.

– Zdenerwować? Nie zdenerwowałeś mnie.

– Myślałem, że tak. Mama powiedziała, że nie wolno mi rozmawiać o Jimie.

Neil nie odpowiedział. Nadal z trudem przychodziło mu myślenie o bracie. Już więcej nie nawiedzały go te straszne, wyraźne obrazy. Z czasem udało mu się je zamazać w pamięci, zapomnieć o nich. Jednak ciągle odczuwał ten ból zapierający dech, jakby wskoczył do oceanu w grudniowy dzień. Wciąż czuł się bezradny i zdesperowany.

– Lepiej już biegnij do szkoły. Pani będzie się o ciebie martwiła – powiedział Neil.

Toby się wahał.

– No, już, leć – ponaglił go Neil, a Toby wiedział, że tata nie żartuje. Zarzucił na ramię tornister, wziął pudełko z drugim śniadaniem, po czym ruszył powoli szarym, zakurzonym dziedzińcem. Neil obserwował, jak jego syn znika za poobijanymi, niebieskimi drzwiami, które się z nim zamknęły. Westchnął.

Wiedział, że powinien być z Tobym szczerzy i opowiedzieć mu o Jimie. Jednak nie potrafił, dopóki sam nie upora się ze wspomnieniami. Zaczynał już parokrotnie opowiadać Toby'emu o tym, co się wydarzyło, ale trudno mu

było znaleźć właściwe słowa. Bo jakimi słowami można opisać scenę, gdy samochód powoli miażdży twojego brata, ponieważ przez nieuwagę zwolniłeś podnośnik? Jakie słowa mogły opisać własną winę?

Nawet dzisiaj miał przed oczami rękę Jima wyciągniętą w jego stronę. Widział błagającą, nabrzmiałą twarz brata, z krwią wylewającą się ustami i nosem. Jak powiedzieć o tym ośmiolatkowi?

Pojechał do centrum Bodega Bay i zaparkował samochód przed restauracją. Potem przeszedł szarym, drewnianym pomostem do *White Dove*, żagłówki, którą naprawiał dla klienta. Mewy kołowały z trzepotem skrzydeł na wietrze, a takielunek jachtów zacumowanych w zatoce po-brzękiwał i szczekał.

Miejscowość Bodega Bay leżała nad małą, płytką zatoką, otoczoną półwyspem, który przypominał zakrzywiony palec wysunięty z wybrzeża Sonomy. Plaże wokół niej były szare i zaśmiecone zwęglonym drewnem i puszkami po piwie, ale dalej ciągnęły się zielone pagórki i ciche gospodarstwa. Turyści już się porozjeżdżali, a przykryte mgłą wybrzeże ucichło, słyszało się jedynie krzyk mew i chłopot fal o pale kei.

Neil zszedł na wybielony solą pokład *White Dove* i przeszedł na rufę. Właściciel używał łodzi przez całe lato, więc wymagała czyszczenia, konserwacji i malowania. Neil spojrzał na maszt i zobaczył, że kilka lin wystrzępiło się i zwisało luzem.

Miał właśnie zejść pod pokład i sprawdzić, jakie naprawy są konieczne w małej kabynie, kiedy wydało mu się, że usłyszał czyjś głos. Podniósł wzrok, ale nie było nikogo w pobliżu poza starym Doughtym, marynarzem z Bodega Bay, który siedział na koszu na homary jakieś dziesięć lub piętnaście metrów od niego.

Neil znieruchomiał na kilka sekund, ale doszedł do wniosku, że musiał się przesłyszeć, więc pochylił głowę, aby wejść do kabiny.

– Allen – wyszeptał czyjś głos.

Neil zamarł. Bez wyraźnego powodu ogarnął go strach, jakiego nigdy dotąd nie doznał. Przez moment nie mógł się ruszyć, jakby ów szept całkowicie pozbawił go wszystkich sił. Po chwili zdołał się odwrócić z szeroko otwartymi oczami i pobladłą twarzą.

Nie było nic poza pokrytą mgłą zatoką, mrocznym, szarym oceanem, kołującymi mewami. Nie słyszał żadnego głosu poza skrzypieniem lin i desek, gdy *White Dove* unosiła się na falach.

Neil wziął głęboki oddech i wszedł do kabiny. Były tu trzy wąskie koje ze zmiętą pościelą. Pośrodku stał lakierowany stół, zastawiony papierowymi kubkami i pustymi butelkami po bourbonie, z blatem przypalonym niedopałkami papierosów. Neil poczuł niesmak na myśl, że można tak traktować łódź. Nawet najzwyczajniejsza łódka chroniła ludzi przed żywiołem i dlatego uważał, że każda, obojętnie jak skromna, zasługiwała na troskę i szacunek.

Rozejrzał się, a potem odwrócił się do schodków i wtedy rozległ się szept:

– Allen, pomóż mi... Allen, proszę, pomóż mi...

Obejrzał się kompletnie przerażony. To śmieszne, ale przez chwilę wydawało mu się, że przez zabrudzony przedni bulaj ktoś zagląda do środka, wtedy jednak twarz natychmiast przeobraziła się w zwoje lin i szkle.

Roztrzęsiony wydostał się z kabiny i stanął na pokładzie. Nie wiedział, co o tym myśleć. Może to sen Toby'ego zapadł mu w pamięć. Może był przepracowany. Wziął kilka głębokich oddechów i przeszedł z powrotem na keję po narzędzia i puszki lakieru.

• • •

W szkole słońce kładło się ukosem na ławki. Pani Novato, młoda brunetka z włochatą myszką na jednym policzku, gustująca w zwiewnych hinduskich sukienkach, zapowiedziała dzieciom wycieczkę, która miała odbyć się za tydzień. Każde dziecko musiało zapłacić za nią dolara i trzydzieści pięć centów i zabrać ze sobą suchy prowiant. Pojadą nad jezioro Berryessa w górach Vaca na lekcję przyrody i może nawet trochę popływają.

Toby siedział razem z Petrą Delgadą, poważną dziewczynką, która nigdy dużo nie mówiła i zawsze w niedzielę chodziła do kościoła. Nauczycielka przesadziła go, ponieważ za dużo rozmawiał i śmiał się, gdy dzielił ławkę ze swoim najlepszym kolegą, rudzielcem Linusem Hoplan-

dem. Linus siedział teraz w pierwszym rzędzie, a jego włosy błyszczały niczym światło latarni morskiej na Point Arena.

– Jedziesz nad jezioro? – Toby szeptem zapytał Petrę. – Pozwolą ci rodzice?

Petra wzruszyła ramionami i z udawaną skromnością wyduła usta.

– Nie wiem. Jest mi niedobrze przez ostatnie cztery dni. Mama może mi nie pozwolić.

– Niedobrze? To znaczy, że rzygałaś?

– Nie wolno mówić „rzygać”. To nieładnie.

Toby nieco się zarumienił. Nie chciał, aby Petra pomyślała, że nie jest duży i mądry. W końcu Petra niedługo skończy dziewięć lat i miała szansę zostać przewodniczącą klasy.

– No to co ci jest? Masz odrę? – dopytywał się Toby.

– Tak naprawdę to cierpię na bezsenność – wyjaśniła Petra.

– To zaraźliwe?

– Pewnie, że nie, głuptasie. Bezsenność to znaczy, że nie możesz spać. Widzisz, jak mam podkrążone oczy? Mama mówi, że to przez napięcie przed dojrzwaniem. – Toby zmarszczył czoło. Nie chciał się przyznać, że nie miał najmniejszego pojęcia, o czym mówi Petra. Słyszał coś o „dojrzwaniu” i wiedział, że ma to jakiś związek z włosami rosnącymi na siusiaku – tak to dziadek zawsze nazywał – ale na tym kończyła się jego wiedza. Jak więk-

szość dzieci, dla których najważniejsze w życiu są desko-
rolki, *Aniołki Charliego* i *Captain Cosmic*, zaraz zapomi-
nał, co mu mówiono.

– Co robisz całą noc, jak nie możesz spać? – zapytał
Toby. – Chodzisz po domu?

– Och, trochę śpię – wyjaśniła Petra. – Tylko że cią-
gle miewam koszmary. Budzę się przez nie, a potem mija
dużo czasu, zanim znowu uda mi się zasnąć.

– Koszmary? Wczoraj miałem koszmar.

– E tam, na pewno mam gorsze koszmary od twoich –
odparła Petra. – Moje są po prostu straszne.

– Mnie się śniło, że ktoś utknął w mojej szafie – opo-
wiadał Toby. W słonecznej sali zabrzmiało to dość kiepsko.
Przerażający strach na widok szarej twarzy w drzwiach
szafy wyparował w ciepłe dnia. Petra zadarła nos.

– To nic takiego. W moich snach jest pełno krwi. Śnią
mi się ludzie cali we krwi. – Toby był pod wrażeniem.

– To naprawdę straszne – przyznał. – Ludzie złani
krwią... to straszne.

– Mama mówi, że to takie strachy w okresie dojrze-
wania – lekko dodała Petra. – Mówi, że to strach kobiety
przed naturalną funkcją, a winni są mężczyźni, bo nie ro-
zumieją kobiet.

– Petra – zawołała pani Novato. – Ty rozmawiasz? To
ci niespodzianka!

Petra rzuciła Toby'emu ostre spojrzenie.

– Przepraszam – powiedziała do nauczycielki. – Chcia-

łam Toby'emu coś wytłumaczyć.

Dwadzieścioro dziewcząt i chłopców w wieku od ośmiu do dziesięciu lat odwróciło głowy w ich stronę.

– Jeżeli czegoś nie rozumiesz, Toby, zawsze możesz mnie zapytać – pouczyła go pani Novato. – Za to mi płacą. Poza tym w większości przypadków jestem trochę lepiej poinformowana niż Petra.

Linus Hopland szczerzył się do Toby'ego i stroił miny. Toby z trudem hamował śmiech, aż musiał ugryźć się w język, aby nie parsknąć głośno.

– Wstań, Toby – poleciła nauczycielka. – Jeżeli chcesz o coś zapytać, czegoś nie rozumiesz, to podziel się z nami swoim problemem. Po to są lekcje.

Toby podniósł się niechętnie. Wzrok wbił w blat ławki.

– No, słucham – ponagliła go pani Novato. – Czego tak bardzo chciałeś się dowiedzieć?

Toby nie odpowiadał.

– Czy było to tak ważne, że musiałeś omawiać to z Petrą w środku lekcji przyrody, a teraz nie możesz mi powiedzieć, co to takiego?

– Chodziło o sny Petry – odparł Toby cichym, zachrypniętym głosem.

– Mów głośniej – ponagliła go nauczycielka. – Nic nie słyszę.

– Chodziło o sny Petry. Petra ma koszmary, tak jak ja. Pani Novato zamrugła oczami.

– Koszmary? Jakież to koszmary? – zapytała.

– Śnił mi się ktoś uwięziony w mojej szafie i wołał o pomoc. A Petrze ludzie cali we krwi.

Pani Novato powoli podeszła do ich ławki. Najpierw spojrzała na Toby’ego, a potem na Petrę. Na tablicy za nią widniało napisane kredą zdanie: „Drzewa w Skamieniałym Lesie zostały zamienione w kamień przez minerały”.

– Powiedzieliście rodzicom o tych koszmarach? – spytała nauczycielka.

– Tak, proszę pani. – Dzieci skinęły głowami.

Pani Novato się uśmiechnęła.

– W takim razie wszystko będzie dobrze. Może jedzcie trochę mniej sera przed snem, a koszmary nie będą was męczyć. Teraz zapomnijcie o złych snach i zajmijcie się tym, co prawdziwe: drzewami w Skamieniałym Lesie.

Toby usiadł. Petra, zła, że pani Novato ją zganiła, uszczypnęła go w nogę z całej siły.

• • •

Podczas dużej przerwy na rozgrzanym, zapyłonym boisku ogrodzonym metalową siatką Toby usiadł na ławce z rozłupanej kłody i jadł kanapki z masłem orzechowym i dżemem. Dzisiaj, mimo że Ben Nichelini usilnie prosił o kanapkę w zamian za żywą jaszczurkę na sznurku, Toby był głodny i zjadł całe drugie śniadanie przygotowane przez mamę. Na sam koniec, przezornie, zachował batonik czekoladowy.

Andy Beaver, któremu zazdrościła cała klasa, bo wu-

jek zabrał go do kina na *Gwiezdne wojny*, całkiem znośnie udawał teraz R2-D2, a Karen Doughty dyszała głośno, powtarzając: „Jestem Darth Vader! Jestem Darth Vader!”.

Daniel Soscol, jeden z najmłodszych chłopców w klasie, przeszedł przez boisko i usiadł obok Toby'ego, z zainteresowaniem przyglądając się, jak ten zjada kanapkę. Daniela nieszczerze lubiano, ponieważ był taki mały i cichy. Miał wielkie, ciemne oczy, szczupłe ręce i nogi. Jego tata był hydraulikiem w Valley Ford, a mama zmarła w maju.

Toby nie przerywał jedzenia. Kiedy skończył, wyciągnął kwadratową, papierową serwetkę, którą mama starannie włożyła mu pod kanapki, i wytarł usta.

– Słyszałem, co mówiłeś o koszmarach – odezwał się Daniel. Toby podniósł wzrok.

– No to co? – rzucił, udając twardziela, ponieważ Soscol był klasowym popychadłem, więc nie chciał, aby Andy Beaver zobaczył, że jest zbyt miły dla kogoś takiego, bo wtedy banda Andy'ego mogłaby zacząć traktować go podobnie. Podkładaliby mu pinezki, chowali książki i robili różne podobne rzeczy.

– Mnie też śniły się koszmary – wyznał Daniel. – Naprawdę straszne. Śniło mi się, że idę przez las i nagle jakieś potwory spadają na mnie z drzew.

– I co w tym straszego?

– A co z tego, że ktoś ci siedzi w szafie?

– No, wtedy to było straszne – stwierdził Toby.

– U mnie też.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Toby odwinął batonik i zaczął go jeść. Chłodny powiew wiatru z zachodu wzbił pył z boiska, a gdzieś w oddali zapiał kogut.

– Nie tylko nam się śnią koszmary – odezwał się Daniel. – Ben Nichelini też miał złe sny. Śniło mu się, że biegnie i biegnie, a jacyś źli ludzie chcą go złapać.

– Wszyscy mają takie sny – odparł Toby.

– Chyba tak – przyznał Daniel. – Tylko to dziwne, że wszystkie dzieci mają koszmary.

Zbliżył się do nich Andy Beaver, popiskując i bulgocząc jak R2-D2. Daniel nie miał ochoty zostać w tym towarzystwie. Kiedy Andy był w nastroju do zabawy, to przeważnie oznaczało, że albo potarga Danielowi włosy, albo ściągnie mu spodnie. Rzucił tylko Toby'emu: „Cześć”, i pobiegł przez boisko do klasy.

– Rozmawiałeś z tym lizusem? – zapytał Andy. Chłopak miał blond włosy i był skory do bitki, pewnie jako dorosły całe życie będzie oglądał mecze baseballu i pił piwo.

Toby zmrużył oczy przed słońcem.

– A jeżeli tak, to co?

– Po prostu nie gadaj z tym lizusem. To cykor. To wszystko.

– Mama niedawno mu umarła. Może też byłbyś cykor, jakby ci mama umarła.

– Na pewno nie byłbym cykorem. O czym gadaliście?

Toby skończył batonik i zmiął papierek.